

PAULINA CZWORDON-LIS

ORCID: 0000-0001-5136-4590

Institut Badań Literackich PAN

„Kto jest fałszerzem pieprzu?”¹

Monika Sznajderman: *Fałszerze pieprzu. Historia rodzinna.*

Wołowiec, Wydawnictwo Czarne, 2016, ss. 280.

Podtytuł: *Historia rodzinna*, i wakacyjne zdjęcie w sepii na okładce zdają się sugerować, że najnowsza – a zarazem pierwsza nienaukowa – książka Moniki Sznajderman to jeszcze jedna nostalgiczna księga pamięci, lokująca się w bujnie rozkwitającym po 1989 roku nurcie intymistyki. Sięganie w niej przez autorkę do własnych żydowskich korzeni spokrewnia ją z takimi autobiografiami, jak: *W ogrodzie pamięci* Joanny Olczak-Ronikier, *Proszę bardzo* Andy Rottenberg czy *Frascati. Apoteoza topografii* Ewy Kuryluk, lecz również – nieoczekiwanie – na przykład z *Lalą* Jacka Dehnela. *Fałszerze pieprzu...* to bowiem istotnie rekonstrukcja dwutorowych losów rodziny autorki: żydowskich przodków ojca (Sznajdermanów, Rozenbergów, Weissbaumów), a także – w relacji do tych pierwszych – polskiej, a konkretnie: ziemiańskiej, rodziny matki (Lachertów, Ciświckich, Rojowskich). Rodzinność w tej historii okazuje się kluczowa w odkrywczym sposób: z racji mocy połączenia w jedno „my” ludzi o skrajnie różnych losach i pochodzeniu, aż do zmieszania ich krwi. Owo „my” Moniki Sznajderman podczas spoglądania wstecz rozpada się na dwa „my”, które przez wieki nie miały ze sobą żadnego punktu wspólnego. Dlatego z perspektywy córki obu rodów spojrzenie to przybiera kształt niemal schizofreniczny: jedni „my” nawet nie bardzo zważyliśmy na to, że inni „my” byliśmy bezwzględnie mordowani. Kolejne rozdziały wypełniają rekonstrukcje: najpierw losów rodziny, w której wychowywał się Marek Sznajderman, oraz tej jej części, z którą nie miał kontaktu. Dalej dotyczą one okoliczności przetrwania przez nastolet-

¹ Przytaczam tu zadane przez mojego siedmioletniego synka zainteresowanego tytułem książki pytanie, na które nie ma łatwej odpowiedzi.

niego wówczas ojca autorki w obozach w Majdanku, Auschwitz, Buchenwaldzie i Sachsenhausen, następnie historii rodziny mamy oraz w końcu powojennych losów członków obu familii. W każdym z rozdziałów autorka co krok nakłania te osobne światy, polski i żydowski, do przegładania się w sobie: na płaszczyźnie osobistej oraz życia zbiorowego.

Chociaż Zagłada, jej przedświat i pustka po zamordowanych są najważniejszymi powodami powstania tej książki i wypełniają największą jej część, siłą przeważającą w niej jest jednak miłość. Stale podsztywa ona rekonstrukcję przeżyć ojca i jego rodziny prowadzoną w drugiej osobie, na kształt intymnej, naderwanej rozmowy – powstałą zresztą „zamiast rozmowy” (s. 5). Zwiększa też wrażliwość na etyczne aspekty przyjętych przez córkę sposobów wkraczania na terytoria okryte jego milczeniem i niepamięcią. Ona także – miłość – powoduje, że prowadząc rzetelne i drobiazgowo poszukiwania „jakiegokolwiek konkretnego” w piekle Auschwitz, autorka rozmyślnie, lecz ostrożnie zakreśla w wyobraźni przestrzeń na – choćby tylko prawdopodobne – okruchy dobra: „Może pomagasz w marszu Izraelowi Ajdenbergowi, lat czterdzieści jeden [...] A może idziesz wśród kobiet – matkują ci trzydziestoletnie Helena Bart lub Cyryła Kalińska. [...] bardzo chcę wierzyć, iż twoim udziałem były jakieś gesty solidarności i pomocy, a nie ostateczna nieludzka samotność, obojętność, rozpacz” (s. 146–147). Miłość, zwłaszcza matki pisarki do jej ojca, ma też znaczenie dla sygnalizowanego w końcowych partiach książki jego moralnego zwycięstwa nad Zagładą. Fizyczne przetrwanie dopełnione zostaje przez ocalenie od choroby psychicznej, samobójstwa, wolność od resentymentu czy woli zemsty, a w końcu „odbudowę rodziny” (s. 157). Nawet bliskość w relacjach z ojcem nie umożliwia jednak córce zrozumienia go w pełni – pozostaje „zbawienna wiara, że jesteś wyjątkiem, że tobie jednemu się udało” (s. 157).

Miłość określa także relacje autorki z innymi członkami rodziny z obu stron. Ciekawość i poczucie powinności, które motywują badania nad śladami po żydowskich przodkach, przeradzają się w swego rodzaju pośmiertną przyjaźń (by nie rzec: „sztamę”) z babką Amelią. Z jej ocalałych listów, opublikowanego opowiadania, a nawet póź na zdjęciach i notatek na ich odwrocie, wyłania się pasjonująca osobowość: „Lubię wyobrazić sobie, jaka byłaby, gdyby żyła dzisiaj. Czy byłaby lewicującą feministką?” (s. 75). Z nieco większym trudem przychodzi pisarce wczucie się w samotność dziadka Ignacego, dla którego decyzja o asymilacji oznaczała zerwanie kontaktów z radomską rodziną i którego nieśmiałość oraz brak woli walki doprowadziły wraz z młodszym synkiem – zaszczonego i zrezygnowanego – na Umschlagplatz. Nikłość śladów uniemożliwia szukanie podobnego porozumienia w przypadku tych krewnych ojca, po których została tylko garść sporządzonych przez okupanta dokumentów z urzędowymi zdjęciami, co z konieczności zmienia narrację o nich w zestaw imion, nazwisk, dat i opisów okoliczności śmierci. W końcu również miłość i – niekiedy szorstka – troska przenikają wspomnienia Moniki Sznajderman z dzieciństwa, pozbawio-

nego, dzięki licznym członkom rodziny z polskiej strony, poczucia pustki. Pojawi się ono później i będzie świadomie wzmacniane. Nawet zwyciężając, miłość nie dominuje, nie anuluje, nie upodrzędnia bólu – i to z jej powodu opowieść o traumie zostaje podjęta.

Wspomnienia żydowskie od wspomnień polskich muszą się różnić już w zakresie technik przywoływania przeszłości. W pierwszym przypadku jest to – w obliczu milczenia i pustki po nieznanym, zamordowanym członkach rodziny – mozolna rekonstrukcja śladów, szukanie fotografii, wertowanie archiwów, a także zmagania z bezradnością języka. W drugim – opieranie się na własnej pamięci, kontakcie osobistym i dziecięcych mitach, wsparte analizą tekstów licznych pamiętników.

W próbach zbliżeń do przeszłości zasymilowanych Rozenbergów i Sznajdermanów oraz szlacheckich Lachertów wyłania się zaskakująco wiele punktów wspólnych. Potencjał nostalgiczno-idyliczny ocalałych cudem zdjęć z wakacji w „pensjonacie pamięci” w urokliwych „świdermajerach” Miedzeszyna mógłby być równie silny jak sceny z końmi, kortem tenisowym i polowaniami w Ciechankach lub gry w brydża obserwowanej spod stołu przez dziecięcą autorkę w dworskim, mimo PRL-u, pokoju babci Marii. Szczególnie korespondują ze sobą lustrzane wręcz sceny, w których babcie pozują do portretów: jedna w 1927 roku, z nowo narodzonym synem, druga w 1941 roku, w czasie, kiedy ta pierwsza, „równie piękna i pełna życia” (s. 167) jak druga, została już zabita w pogromie. Zanim doszło do rozbieżności losów obu babć – jednej „zrekonstruowanej”, a drugiej znanej osobiście – łączyło je całkiem wiele: wyrazisty charakter, podjęta w swoim czasie decyzja o rozwodzie z mężem, a nawet podobieństwo materialnej strony codziennego stylu życia: kwiatów i strojów, urokliwych drobiazgów i zastawy stołowej, a także mówienie i pisanie piękną polszczyzną. To, że nawet w warstwie zamożnej inteligencji zasymilowane rodziny żydowskie i polskie „raczej się nie przyjaźniły” (s. 35), że różnica etniczna stanowiła aż taką przeszkodę, wydaje się niezrozumiałe w świetle faktu, że ich potomkowie znajdują się na tym samym drzewie genealogicznym. Nie jest natomiast możliwe podobne zbliżenie się autorki do o wiele bardziej osobnego świata również jej bliskich genealogicznie ortodoksyjnych, mówiących w jidysz mieszkańców żydowskiej dzielnicy Radomia, skromnych, wielodzietnych rzemieślników i robotników. Ślady po nich mają charakter dowodów na istnienie; bo zabijani byli przyłapani „na gorącym uczynku / życia”² – jak pisał Jerzy Ficowski, przeglądający kiedyś ten sam co Monika Sznajderman *Spis abonentów sieci telefonów miasta stołecznego Warszawy na rok 1938/39*. I to istnienia chce im choćby cząstkowo przymnażać ich potomkini za pomocą słów – jedyne go dostępnego, choć niezbornego narzędzia.

² J. FICOWSKI: *Spis abonentów sieci telefonów miasta stołecznego Warszawy na rok 1938/39*. W: TENŻE: *Lewe strony widoków*. Wybrał i oprac. P. SOMMER. Poznań 2014, s. 225.

Podjęmowaniu słownych rekonstrukcji tego, jak żyli i umierali jej przodkowie w Polsce, sprzyja przyjęta technika narracji – duże nasycenie tekstami cudzymi. Autorka zbliża się do tego, co nieobecne, włączając w swoją opowieść fragmenty z utworów literackich, a częściej jeszcze – ze źródeł nieliterackich: z doniesień i notek prasowych choćby tylko wzmiankujących osoby z jej żydowskiej rodziny lub przynajmniej dotykających miejsca i czasu ich życia, z współtworzących atmosferę czasu not o cenach, przypadkach chorób czy układzie dróg i torów, z ogłoszeń i reklam. Przewertowanie tysięcy gazet oraz druków użytkowych pozwoliło Sznajderman udokumentować adresy domów i kawiarni, repertuary teatrów, stan dróg, pogodę. Zręcznie wciela też do swojej opowieści urywki literatury Holocaustu, głosy świadków i ocalałych, zarówno te kanoniczne, jak i te szerzej nieznane: wygrzebane z archiwów, uzyskane z rozmów prowadzonych specjalnie na użytek tej książki, okalające miejsca śmierci bliskich w pogromie czy podczas likwidacji getta. Dysponując warsztatem naukowca – antropologa kultury – autorka na równych prawach przywołuje też autokomentarze, pytania i celne sformułowania licznych teoretyków i historyków Zagłady, z których wiele może jedynie uznać za swoje i im zawtórować. Jej pisanie – podobnie jak działalność wydawnicza – odpowiada na wezwanie Yosefa Hayima Yerushalamiego: „niech wzbiera strumień książek i monografii”; do którego dopowiada: „[...] nigdy dosyć pamięci” (s. 114). Starając się uzyskać możliwie wiele tego, co osobiste i indywidualne, przeplata teksty naukowe ocalałymi śladami po członkach rodziny: od póż na fotografiach, przez pojedyncze słowa i palimpsest charakterów pisma, po wspomnienia ojca – te ze świadectwa opowiedzianego Barbarze Engelking i te usłyszane osobiście. Uzupełniający spis wrażeń z odwiedzin po latach w dawnych miejscach zamieszkania członków różnych gałęzi rodziny, zrujnowanych, pustych i pozbawionych pamięci, stanowi tyleż wyraz reporterzkiej rzetelności, ile woli sprawdzenia tych miejsc sobą. Biegące między tyloma głosami pasmo narracji własnej składa się ze swego rodzaju prób wyobraźni: raz dokładniejszych, kiedy indziej nieostrzych. Towarzyszą im autokomentarze na temat granic swej wiedzy i wyobraźni mierzącej się z sytuacjami skrajnymi, niewystarczalności słów, prawa do rekonstruowania, a także na temat własnych technik i motywacji: „[...] drążę i mnożę, ściubię, nizam i wyłapuję” oraz „zaczynam pamiętać” – „z obowiązku wobec żyjących przed nami, przeciw milczeniu” (s. 113). Ta część narracji prowadzona jest we wszystkich czasach gramatycznych i nielinearnie, jak gdyby odbijała się od brzemiennej w nieoczekiwane skutki wydarzeń sprzed Zagłady albo od zbytnej grozy – w przeszłość.

Słowa, które mają przymnażać istnienia, funkcjonują jednak na tej samej płaszczyźnie co słowa nienawiści, jak również – co nowe – słowa o błahostkach, pozornie niewinne. Wprawdzie prasowe ułamki przedwojennego świata: różnego rodzaju ogłoszenia, reklamy czy repertuary teatrów, po prostu unaoczniają jego bogactwo i naturalną wielorakość doświadczeń różnych osób; podczas gdy jedni czuwają przy łożku umierającej babci Gustawy Rozenbergowej, inni oglądają

wodewil. Jednak z – jeszcze niewinnego – zestawienia na tej samej stronie gazety z 1937 roku artykułów zawierających nazwy nielegalnych wtedy organizacji ONR i śląskiej N.S.D.A.B. [!] z relacją z sensacyjnego procesu wytoczonego Ignacemu Sznajdermanowi przez chorego umysłowo pacjenta wyziera złowroga zapowiedź. Status organizacji zmieni się potem o tyle, że jej idee zaczną być realizowane, natomiast potrzeba zamieszczania tuż obok – bez złych intencji przecież – reklam pasty do zębów pozostanie nienaruszona. Podobnej natury wydaje się ostrzeżenie przed działającymi w getcie „falszermi pieprzu”, które pojawiło się jako jeden z wielu odwracających uwagę michałków w gazecie propagandowej wydawanej w getcie warszawskim. Nie powodując – jak antysemitki – bezpośrednio krzywdy i nie będąc nawet kłamstwem, poprzez samą lokalizację staje się to ogłoszenie świadectwem zła, jakim było odwracanie wzroku od wywiezienia tego dnia do obozu śmierci 6458 osób. Podobnie prasa propagandowa poza gettem w dniu, w którym Marek Sznajderman dotarł do Auschwitz, donosiła o możliwości posłuchania „muzyki nastrojowej” i „bufecie obficie zaopatrzonem” (s. 143) w kawiarniach warszawskich. Natomiast w ogłoszeniach drobnych ktoś zgłaszał chęć zakupu wyposażenia domu. Za tymi wzmiankami, z którymi autorka zestawia wydobyte z dokumentacji obozowej „suche fakty” (s. 142), nazwiska hitlerowców i dane o wydajności krematoriów, stoją konkretne postawy ludzkie. A „jedzący w 41 roku wystawny obiad” (s. 235) i pozujący do portretów polscy przodkowie wydają się takim postawom niepokojąco bliscy.

Dlatego całkowita niemal zagłada rekonstruowanych żydowskich „nas” pisarki nieodwołalnie wymusza postrzeganie tych polskich „nas”, którzy żyli tuż obok tych pierwszych, przez pryzmat odpowiedzialności. Jej zakres jest maksymalnie szeroki, obejmuje bowiem zarówno indywidualne uczynki oraz zaniechania, jak i konsekwencje przynależności do rodziny, narodu polskiego czy ziemiaństwa jako wpływowej warstwy społecznej o określonej mentalności. I dlatego z tej odpowiedzialności wnuczka Polaków i Żydów nie wyłącza nawet samej siebie. Pisarka nie umniejsza przy tym cierpień Polaków w czasie wojny ani ich prawa do strachu. Odnotowuje również przejawy polskiej szlachetności: zarówno tej instytucjonalnej (wyroki na szmalcowników wydawane przez Polskie Państwo Podziemne), jak i cechującej pomoc niesioną przez pojedyncze osoby. Więcej pytań rodzą jednak niewątpliwe krzywdy wyrządzone Żydom przez Polaków. Wszelkie przytaczane w książce przypadki przemocy dotyczącej Żydów, a zwłaszcza członków jej rodziny, zła, którego sprawcami są Polacy (a także Ukraińcy – inicjatorzy pogromu w Złoczowie, w którym zginęła babcia Amelia), są przez Sznajderman drobiazgowo i rzetelnie dokumentowane. Przytacza ona doniesienia prasowe o polskich szabrownikach rozkradających żydowskie mienie w okolicach rodzinnego pensjonatu, o powojennych pogromach i atakach na żydowskie domy dziecka; cytuje też antysemitki artykuły z prawicowej prasy. Polscy mordercy Joska – kuzyna jedyne go ocalałego radomskiego Sznajdermana – i Beli Gutmanów byli uczestnikami „ze szczegółami i świadomo-

mie zaplanowanej akcji mającej wystraszyć nielicznych ocalałych radomskich Żydów” (s. 134). Na pozostawionej w miejscu morderstwa kartce zapisują oni groźby dalszych zabójstw, takie same jak te z ulotek, w których „wyraziciel głosu Społeczeństwa Polskiego” poleca Żydom „wyniesienie się” z Radomia, jeśli nie chcą ginąć. A ślady postawy niechętniej Żydom znajdują się nawet w pismach dowódcy Związku Walki Zbrojnej AK (s. 224).

Stąd właśnie wynika sprzeciw, jaki budzi w Monice Sznajderman przynależność brata jej babci, Zygmunta Lacherta (z racji zażyłości zwanego przez nią w książce „moim polskim dziadkiem”), do Stronnictwa Narodowego. Fakt, że wstępował on do organizacji akurat w latach 30., gdy była jawnie faszystowska i antysemicka, przeprowadzała ataki i zamachy, inspirowała pogromy, których ofiary i okoliczności Sznajderman imiennie przywołuje, fakt, że w młodości brał udział w ich akcjach agitacyjnych, a w późniejszym czasie zasiadał nawet w zarządzie, sprawia, że poniekąd uwierzytelniał on swoją osobą zbrodnicze działania podejmowane wobec Żydów przez różnych „wyrazicieli głosu Społeczeństwa Polskiego” podczas wojny i po niej.

Wysokie wymagania w sferze wrażliwości na cierpienie żydowskich „nas”, jakie autorka stawia swoim przodkom, wynikają z ich własnych charakterów, które było jej dane poznać osobiście i poprzez rodzinne legendy. Byliby doskonałymi kandydatami na Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, gdyby się tym interesowali. Ostatecznie Żydom pomagali tylko najstarszy brat, odszczepieniec Bohdan Lachert (awangardowy, lewicowy, przyszły komunista) i jego żona Irena. Polska rodzina Moniki Sznajderman jest rozgałęziona, a opowieści o wybitnych jej członkach przechowywanych jest w rodzie tyle, że – dla zachowania równowagi – autorka przycina je i niekiedy tylko sygnalizuje. Nakreślone przez nią portrety są zresztą znakomite i równie mocno przemawiają do wyobraźni, jak portrety przodków żydowskich. O ile można rozpatrywać ich zbiorowo, przedstawiają się w nich jako ludzie śmiali, silni psychicznie, odważni aż do brawury, zaradni i sprytni, wykształceni i aktywni obywatele, przejęci ideą filantropii. Wśród swoich zasług mają budowę niepodległej Polski na niwie gospodarczej (pradziadek Waławacław Lachert), działalność społeczną (głównie kobiety), walkę i śmierć w powstaniu warszawskim (Kazimierz Rojowski), działalność w podziemiu, upijanie, przekupywanie i zwodzenie Niemców, a później heroizm podczas śledztwa i tortur w stalinowskim areszcie (Zygmunt), samodzielność i radzenie sobie w nowej rzeczywistości, organizowanie na przekór komunizmowi luksusowych paczek i przechowywanie złotych rubli (Maria).

Nie sposób stawiać nikogo z polskiej rodziny autorki obok szmalcowników, grabieżców i morderców czy na przykład służącego w SS i gestapo ojca Martina Pollaka, który jest autorem wstępu do *Fałszerzy pieprzu...* Ani bowiem nie skorzystali oni na Zagładzie, ani nikogo osobiście nie skrzywdzili, a nawet mieli „swoich Żydów”, o których dobrze myśleli. Kiedy Monika Sznajderman mówi w ich-swoim imieniu: „[...] nikogo nie zabiłiśmy, w nikogo nie rzucili-

śmy kamieniem. W niczyich garnkach nie gotowaliśmy, niczyjego złota nie pragnęliśmy” (s. 237), to, choć brzmi to jak rozgrzeszenie, jest w istocie bliższe oskarżeniu, tyle że nie bezwzględnemu, lecz wspartemu pytaniami i wolą zrozumienia. Oskarżenie uprawnione jest tym, że „teoretycznie mogli się spotkać latem 1941 roku na drodze do Warszawy [...] polski dziedzic i dwóch przerażonych żydowskich chłopców po śmierci matki wracających ze Złoczowa do warszawskiego getta. Gdyby jednak przypadkiem tak się stało, zapewne by się nie dostrzegli – przeszliby obok siebie obojętnie, tak jak żyli obok siebie w Polsce od dawna” (s. 299–300). Próbując dotrzeć do myśli i uczuć stanowiących źródło tych zaniechań, autorka natrafia w pamiętniku dziadka Zygmunta, najważniejszym zresztą dokumencie osobistym polskiej strony rodziny, na fragmenty tak trafne jak przyjęte na tytuł rozdziału zdanie: „[...] myśmy uratowali się wszyscy, oni wszyscy zginęli” – unaoczniające potencjalną sprzeczność. Autentyczne poruszenie losem Żydów z Łęcznej po likwidacji getta nie skłoniło Zygmunta do wystąpienia z organizacji przez cały czas popierającej wizję Polski bez Żydów. Wywożenie i mordowanie żydowskich sąsiadów i partnerów handlowych, choć wstrząsające, nie było tak ważne jak obawy o wojenne losy polskiej inteligencji, bitwy marynarki brytyjskiej z udziałem polskich okrętów czy wystawne obiady relacjonowane na tych samych kartach. Dopływ krwi ofiar w żyłach autorki zwiększa jej wrażliwość, powoduje zintensyfikowanie pracy nad pamięcią i błogosławione „ubóstwo wyobraźni” (s. 213). Wszystko to sprawia, że dziwi ją ta skrajna odmienność losów. „Bo patrzę przez podwójne okulary, a oni patrzą ze mną. Bo straciłam niewinność i przez to odebrałam ją także im” (s. 213).

Winę za obojętność wynikającą z poczucia obcości i niemożności pełnego współczucia rozpisuje Monika Sznajderman na całą formację kulturową, ironicznie zwaną tu „powietrzem”, wśród którego wychowali się jej polscy przodkowie, ale które też współtworzyli i spod którego mogli się wyłamać: jak nieanielski wcale Bohdan, jak – wychowywana już w innych warunkach, ale w kulcie tych samych wartości – ona sama. Historycznym uwarunkowaniem polskiego „skrętu w prawo” po śmierci Piłsudskiego autorka nie poświęca zbyt wiele uwagi. Natomiast jej lewicowa wrażliwość łączy się z niemożnością zrozumienia postawy o prawicowej proveniencji, według której większa uwaga należy się ludziom przywiązanym do tej samej tradycji niż ludziom cierpiącym blisko, „na wyciągnięcie ręki”, ale obcym. Przy czym właśnie tożsamość ziemiańska okazuje się ważniejsza nawet od tożsamości polskiej: Lachertowie mają saksońskie korzenie, babcia Maria przeszła na protestantyzm, a dzieciństwo Moniki rozbrzmiewało różnymi językami i łączyło się z wizytami gości różnych narodowości. Tożsamość ta oparta jest tyleż na dworkach, stadninach i kuligach, kulcie legionisty i powstańca warszawskiego, tradycji działań charytatywnych czy wymogu szlachetności charakteru, ile na pielęgnowanym przez wieki poczuciu wyższości nad Polakami „trochę innymi”. Odnosiło się ono i do chłopów, i do Żydów – z wyłączeniem odpowiednio usłużnych, godnych zaufania, poczciwych,

ewentualnie „karnych pracowników” – a w czasach PRL-u także do ówczesnych nuworysz, niepotrafiących korzystać z kultury wysokiej: „[...] my [...] jesteśmy lepsi. W dzieciństwie było to dla mnie oczywiste” (s. 186). Tutaj drobiazgowa kwerenda przynosi dowody na to, że „imponderabilia ziemiańskiego życia były dla nich na tyle ważne” (s. 207), że w środku wojny drugi mąż babci rozważał – anachroniczne zgoła – wyzwanie kogoś na pojedynek w wyniku zatargu związanego z wyścigami konnymi. Czy on sam lub ktoś inny z rodziny brał udział w organizowanych przez okupanta w latach 1940–1944 polsko-niemieckich konnych wyścigach w Lublinie – Monika Sznajderman woli nawet nie wiedzieć, ponieważ na to, że wśród oddających najlepsze konie i kibicujących na trybunach byli polscy ziemianie, są niestety dowody w postaci artykułów prasowych. W takiej optyce ginący Żydzi są – podobnie jak w pamiętnikach Władysława Tatarkiewicza czy w listach Zofii Stryjeńskiej – po prostu nieobecni.

W tym kontekście interesująco przedstawia się znaczenie PRL-owskiego ustroju dla rodzinnej historii Moniki Sznajderman, choć wprost się tym tłem społecznym autorka nie zajmuje. Nie tak trudno jednak zrozumieć akces młodego, szlacheckiego Marka do partii: „[...] prawdziwie, głęboko i szczerze wierzysz w nową Polskę” (s. 260). Ustrój, który wprawdzie w wersji stalinowskiej okazał się zbrodniczy, wtedy, zaraz po wojnie, przede wszystkim zdejmował z wielu ludzi gróźbę śmierci za samo istnienie. Marek Sznajderman zyskał w nim wolność od instytucjonalnej dyskryminacji za pochodzenie, możliwość regeneracji w – zapamiętanym jako raj – żydowskim domu dziecka w Zatrzebiu, nauki, studiów medycznych i praktykowania zawodu – tak że nie skorzystał z możliwości emigracji. PRL-owski komunizm wyrządził natomiast krzywdę rodzinie Lachertów, której bezprawnie odbierano majątki i doprowadzano je do ruiny, której członków prześladowano za poglądy, jak więzionego przez dziewięć lat Zygmunta. Przede wszystkim jednak zniszczył on cały ten piękny, lecz zatruty szlachecki świat, który babcia Maria wbrew systemowi długo próbowała ocalać. Miara tej zagłady – pisanej małą literą – jest jednak nieporównywalna z Holokaustem. A największym zwycięstwem nad komunizmem, a może nawet nad złem, wydaje się to, że wyzbyci na starość politycznych zaciętrzewień: dawny budowniczy komunizmu Bohdan, dawny narodowiec Zygmunt, popierająca go Masia i pozostałe rodzeństwo, siedzą przy wspólnym stole. I że Marek jest członkiem ich rodziny, chociaż dawniej przynajmniej Zygmunt Lachert popierał ludzi głoszących, że „wpuszczanie Żyda do rodziny, do towarzystwa [...] jest rodzajem zdrady stanu” (s. 226).

Prowadzona poniewczasie, zderzająca się co krok z „nie wiem” i pozbawiona konkluzji narracja w *Fałszerzach pieprzu...* wraz z warsztatem naukowym nadaje książce charakter eseju autobiograficznego. Toteż nie ma w niej odpowiedzi ani na ponawiane w różnych okolicznościach intymne pytania: „co czułeś?” czy „jak wyglądało rozstanie z ojcem i bratem?”, ani na to, dlaczego polscy Żydzi „uosabiali obcość”, „z którą trudno było się utożsamić, która nie była człowiecza,

i w tym sensie trudno było jej współczuć” (s. 217), i dlatego nawet tym zasy-milowanym „jakoś z nami nie wyszło” (s. 236). Sznajderman nie odnajduje ani łatwych rozliczeń, ani harmonijnego pogodzenia w sobie obu dziedzictw.

Mimo imponującej pracy nad tłem autorka historii rodzinnej najlepiej czuje się w relacji z drugim człowiekiem, w szukaniu więzi. Tak jest też w przypadku małego Alusia, „stryja, który już na zawsze pozostanie w moich myślach małym chłopcem z burzą ciemnych kędzierzawych włosów, a nie żadnym stryjem” (s. 100), który na okładkowej fotografii książki jako jedyny nie uczestniczy w grze rodziny w piłkę, lecz patrzy spokojnym, poważnym wzrokiem. Z woli autorki zabity chłopiec patrzy również na czytelnika obdarzonego „dobrodziejstwem późnego urodzenia” (s. 235), żyjącego w epoce wrażliwości na krzywdę dziecka i takich trendów w pedagogice jak porozumienie bez przemocy – ale także w epoce Aleppo; czytelnika zagląającego – oby – przede wszystkim we własne sumienie, pod kątem różnych zaniechań. Albowiem wśród wielu zadawanych w tej książce pytań o „jak” i „dlaczego” nie ma akurat pytań o możliwość zaistnienia Zagłady, o to, jak to się stało, że zabijano dzieci – wielokrotnie zadawanych już wcześniej. Odpowiedzi domaga się, wyłaniające się z *Falszerzy pieprzu...*, choć niezadane pytanie: czy wystarczająco chronimy siebie przed – wciąż zabójczym – poczuciem obcości wobec drugiego człowieka i przed znie-czuleniem emanującym z zestawienia na wspólnej tablicy aktualności na portalu społecznościowym reklamy pasty i świadectwa bólu? Ale o to już każdy musi zapytać siebie sam.

Paulina Czwordon-Lis

“Who has forged the pepper?”

Monika Sznajderman: *Falszerze pieprzu. Historia rodzinna*.
Wołowiec, Wydawnictwo Czarne, 2016, ss. 280.

Summary

This review of Monika Sznajderman’s autobiographical essay endeavours to show the techniques and the ethical value of reconstructing Polish and Jewish fates entangled in the history of the author’s family and her own dualistic identity. The review retells a story of Jewish and Polish relations during the war, and demonstrates how Sznajderman manages to avoid stereotypes in her work. Finally, it is emphasised that it is not the historical processes that interest Sznajderman the most, but rather the interpersonal relations.